ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Września | Nr 38. | Roku 1843.

RUBENS.

CZEŚĆ DRUGA.*)

Już się zmiérzchało. Chwila była słotna, wiatr wył jak wilk zgłodniały, śnieg sypał się płatami. Długą ulicą, która przedziela Langennaystrat od Kaizerstrata, bieżała podeszła kobiéta niespokojnym pośpiechem, często poglądając na swój koszyczek, w którym coś niosła. Stanęła przy małym domku z kamienną wystawą o pięciu stopniach. Zapukała, i dał się słyszéć głos dziéwicy:

»Tyżeśto mamko?«

»Jato, ja; dziécię moje, otwórz!«

Drzwi się otworzyły, a dziéwczyna trzymająca w ręku miedzianą lampę, błyszczącą jak złoto, wpuściła staruszkę; zdjęła z niéj mokry płaszcz, i odebrała z rąk koszyk.

»Cicho Elizo, cicho!« — rzekła staruszka z wesołą skrzętnością; »wyśmienita rzecz w koszyku, zgadniéjże co to?«

»Nie wiém«, odpowiedziała roztargniona i smutna dziéwczyna.

»To udko z kury, moja duszko! udko z kury, duże... jakby z gęsi! Mefrou Denisens, dała mi je na wieczerzę — siadajże duszko; jeszcze gorące.«

Staruszka siadła do stołu; przerznęła przyniesione z sobą pieczyste na dwie części, i zostawiła chudszą na swym talérzu, ażeby lepszym kąskiem uraczyć Elizę, która jeść się siliła, lecz przestała: łzy potoczyły się po jéj licu. Widząc to stara Marta, utraciła apetyt. — »Cóżto, czy i dziś nie przyszedł?« zapytała z serdecznem spółczuciem.

»Jużto trzeci dzień, jak go nié ma!«

»Oh, co teraz, to już go nie będę usprawiedliwiała. To głupio, bardzo głupio! Wszelakoż może być, że go jaka robota zatrzymała. Bo-to nie zawsze można czynić zadość swoim chęciom. No, uspokójże się moja duszko, uspokój: może być, że jeszcze nadéjdzie.«

»Pojął on teraz«, rzekła Eliza z westchnieniem, nie zwracając uwagi na pociechę Marty: »on teraz pojął: że nierozsądkiem było kochać siérotę, która nic nié ma prócz rąk do swego wyżywienia, i żadnéj innéj podpory prócz ciebie, dobra Marto!«

»Ty jesteś siérota, to prawda, ale jesteś siérotą, która odebrała przyzwoite wychowanie, umiész czytać i pisać i należysz do jednéj z lepszych familii w Antwerpii. Co nie mało znaczy. Ojciec twój był bogatym kupcem, a twoja matka, przyrodnią siostrą nieboszczyka burmistrza.....«

»Byłoćto niegdyś, a cóż teraz? ojciec straciwszy majątek umarł, matka w smutku, nie długo za nim poszła do grobu, ja zostałam sama jedna na świecie, siérotą ubogą, i ciężarem dla ciebie...«

»Co tam gadasz ciężarem! Elizo! gniewasz mię! Ciężarem? Albož ty nie jesteś moją pociechą, moją radością? Cóż mi świat bez ciebie? — Przestańmy mówić o tém; przyjdzie czas, obrachujemy się! Majster Piotr dobry człowiek. Grzéch źle o nim pomyśléć. Ciérp moje dziecko, nie trać nadziei... Ach, Boże mój!... czy słyszysz? Ktoś idzie... To on!«

Słychać było do drzwi stukanie. Marta skoczyła otworzyć, a do pokoju wszedł młody człowiek, przyjemnéj a razem poważnéj powierzchowności; ukłonił się uprzejmie dziéwczynie, która usłyszawszy pukanie, pobladła, a teraz drzała jak listek.

»Długo was nie było widno!« wymówiła się Marta w pośpiechu.

*) Patrz tego-roczne »Rozmaitości« Nr. 15 i 16.

Eliza spojrzała na nią z oznaką wyrzutu.

»Zdaje się, że tu nie wszyscy tegoż samego zdania, dobra Marto«, rzekł młodzieniec z uśmiéchem.

»Trzy dni, całe trzy dni, nas nie odwiédzić! Mnie się zdawało, że rok cały! Wieczory długie, siedzisz, i siedzisz, i końca nié ma!«

»Prawdę mówisz Marto«, odpowiedział młody człowiek, płaszcz zdéjmując; »i mnie się czas bardzo długim zdawał, lecz śpieszna, konieczna robota zatrzymała mnie. Przytém bywają dnie, w których smutek serce ściska, w głowie nie błyśnie najmniejsza myśl jasna, w których człowiek traci i odwagę i nadzieję—w takie dni Marto, potrzebna samotność, bo téj boleści, nawet obecność najmilszych osób, nie zdoła uléczyć. W takowe dni powątpiéwamy o teraźniejszości, o przyszłości i o samych sobie.«

»I o tych, którzy nas kochają?« zagadnęła Eliza, z tajemnym wyrzutem i ze łzami w oczach.

»O, przebacz, przebacz Elizo! Oto trzy lata cię już znam, trzy lata staram się przysposobić sobie środki, chcąc urzeczywistnić marzenia o szczęściu, które częstokroć schlébia mojemu wyobrażeniu złocistym blaskiem... Wszystko się nie darzy; jak i niegdyś, jestem biédnym i nieznanym. Pragnałem pomyślnością, uzyskaniem majątku, osiągnąć prawo do twego serca, a to dla tego, że naśmiéwają się z ubogiego człowieka, który się żeni z podobnież ubogą dziéwczyną.... naganiają mu jego nierozsądny postępek, zagradzają drogę w przyszłość. Przyjdzie potrzeba, a z nią i rozpacz, nic nie jest w stanie wydobyć go z nędzy.«

»Prawda Piotrze; miłość biednéj dziéwczyny wlecze za sobą nieszczęście! Miłość ta i śmiészna i niebezpieczna... Wypada ją zaniechać, ażeby uniknąć większego nieszczęścia! My musiémy się rozstać...«

»Cóżto znaczy Elizo?«

»Przebacz«, rzekła ona, ujmując rękę, którą on pochwycił; »przebacz Piotrze. To już moja ostatnia słabość. Na przyszłość będę nieugiętą. Dowiodę, że cię kocham nie z rachuby... Dawno już nad tém myślałam, coś teraz wyrzekł, i nieraz czyniłam sobie gorzkie wyrzuty: »Ty go kochasz, mówiłam sama do siebie, ty go kochasz, i chcesz zniszczyć jego przyszłość, potępić go na nędzę? Co się z nim stanie, jeżeli on zrobi z siebie ofiarę idąc za popędem serca? Co go czeka, gdy on biédny jeszcze i o tobie będzie zmuszony mieć troskliwe staranie? Nie, Piotrze, to być nie może. Powracam ci twe słowo i twe przyrzeczenie! Bądź wolnym. Bądź mi tylko bratem. Będę ja może długo, długo cierpiała, lecz przekonanie, że dopełniłam obowiązku, doda mi siły... Zresztą, już em przyzwyczaiła się do nieszczęścia!« —— Siadła blada, jednakże z wyrazem silnego postanowienia.

»Otóżto tak pojmujesz i cenisz moję miłość Elizo! Czyliż nie dla ciebie pracuję całe trzy lata? Czyliż nie dla ciebie trudnię się? Czyliż nie dla tego, żeby stać się godnym ciebie? Żeby ci ofiarować imię, którémbyś szczycić się mogła?«

»Imię? Albo ż ja znam twe imię? Czyliż myślisz, że się nigdy nie wkradło podejrzenie w moję duszę przy tajemnicy, którę zachowujesz? Widząc uśmiéch szyderski sąsiad, którym nie tajno, że mię odwidzasz?... Lecz ja zawsze odsuwałam podejrzenie, i teraz go usuwam, bo cię uważam za poczciwego człowieka. Powtarzam ci, że gotowa jestem być twoją siostrą, czułą i pokorną, gotowa jestem podzielać twe troski i twój smutek, a nierozsądne plany i niepodobne marzenia—musiémy porzucić! Są one niebezpieczne i zabijające!«

Słowa te wyrzeczone były tak silnie i z taką nieugiętą determinacyją, że młody człowiek nie był w stanie odpowiedzićć na nię, i tylko z pośpiechem otarł łzę, a nareszcie po małéj chwili wstawszy rzekł z powagą:

»Elizo! ja przysiągłem, że ty będziesz moją żoną, i nic mię od téj przysięgi nie uwolni!... Zresztą, jeżeli ty chcesz, uwalniam cię od danego słowa; powtarzam jednakże, iż pomimo to wszystko, przyrzeczenie moje uważam za święte i nieodzowne. Bywaj zdrowa! Nie przyjdę więcéj, jeżeli mię nie wezwiesz, a może być—nawet i opuszczę Antwerpiją...«

»Dla miłości Boga, nie rozchodźcie się w ten sposób!« zawołała Marta. »Cóżto znaczy? tak długo kochali się, a nareszcie

kłótnia!... Do czegożto? Cóż wy jedno bez drugiego? Eliza trzy dni płakała, że was nie było, a wy *master* Piotrze pobledneliście jak płótno, a to dla kilku słów, które ona powiedziała. Cóżto znowu? Bóg z wami! Nacóż się tak dręczycie oboje! Jesteście młodzi, w waszych sercach czysta, szlachetna miłość, a wy rozpaczacie? Ja mam nadzieję w przyszłość i w miłosierdzie Boga. Eliza dobra dziéwczyna... o, gdybyście wiedzieli, jak ona dobra! A wy *master* Piotrze, uczciwy, młody człowiek, skromny jak dziéwczyna, wy z czasem przyjdziecie do majątku... Możemy poczekać: Bóg łaskaw... A tymczasem dajcie sobie ręce, zapomnijcie sporów: pogadamy razem.«

Marta połączyła ich ręce, i oboje stali niejaki czas milcząc i spuściwszy oczy. Nareszcie Piotr piérwszy zapytał z czułością:

»Czy mię już nie kochasz?«

Eliza spojrzała na niego i natychmiast oczy spuściwszy chciała lekko usunąć rękę od młodego człowieka, a Marta z uśmiéchem i łzami spoglądała na przywróconą zgodę.

»Ty mię nie kochasz?« powtórzył Piotr uśmiéchając się.

»Niedobry!« odpowiedziała Eliza. »Przyrzeknij mi przynajmniéj, że nie będziesz więcéj prawił takich rzeczy...«

»Alboż nie dosyć surowo ukarany jestem? O, jak ty zostaniesz moją żoną, pomszczę ja się za to...«

»Żoną twoją! Boże mój, nie mogę wierzyć w to szczęście, a przecież ufność jest koniecznie potrzebna!«

»O, gdybyś ty wiedziała, jak ja pragnę zbliżyć dzień mojego szczęścia!«— —

Musimy tu uwiadomić naszych czytelników, że Rubens piérwszy raz postrzegł Elizę wkrótce po śmierci swéj matki w kościele, gdzie i ona modliła się nad grobem swéj rodzicielki. Podobieństwo wzajemnego położenia zrobiło silne wrażenie na młodym człowieku. Dowiedział się, gdzie mieszka Eliza, i znalazł środki powziąć dokładną wiadomość o stosunkach dziéwczyny, która codziennie mocniéj zajmowała jego wyobrażenie.

Ojciec jéj, szanowny obywatel Antwerpii, był bogatym kupcem; straciwszy kilka okrętów, został bez majątku i umarł; matka wkrótce przeniosła się za nim do grobu, a Eliza została biédną siérotą w ręku Marty, przychylnéj sługi ich domu, którą ani niedostatek ani ubóstwo nie zdołały odłączyć od ukochanego dziecka dawnéj swéj pani. I tak, gdy dziéwica w domu trudniła się wyrabianiem koronek i szyciem, chodziła Marta za najem dzienny usługiwać pomiędzy ludzie. Sąsiedzi nie mogli się nachwalić obu tych kobiét, i każdy, który je spotykał na ulicy, kłaniał im się w znak szacunku.

Wszystkie tego rodzaju drobnostki nie uspokoiły, lecz jeszcze wzbudziły większą ciekawość Piotra. Postanowił poznać się bliżéj z Elizą. O pozór nie było trudno, wypadało tylko zamówić sobie jaką robotę; co on też i uczynił.

Im częściéj Piotr odwidzał Elizę, tém więcéj znajdował ją powabną i godną prawdziwego przywiązania. Dziéwica z swéj strony nie słyszała nikogo, któryby z taką jak on mówił przyjemnością, i któregoby myśli tak były zgodne z jéj sposobem myślenia, i tém to zdarzeniem rozmawiając z sobą jednego razu wieczorem, chociaż nigdy nie wyznali sobie wzajemnéj miłości, niespodziéwanie zaczęli rozmawiać o swojém przyszłém małżeństwie.

Piotr niegdyś srogo oszukany w namiętnéj swéj miłości przez jednę Włoszkę, która innemu rękę swą oddała, poddawał się z nieufnością nowym uczuciom. Obcowanie z Elizą otaczało go urokiem piękności, rozkoszy i pieszczonéj rozmowy, a w oddaleniu od niéj, dręczyła go wątpliwość i bojaźń. Często nawet chciał rozstać się z nią nazawsze, chciał odjechać, obawiając się, by nie został ułudzonym podobnież, jak w piérwszéj swéj miłości, lecz nie miał siły i odwagi do uskutecznienia swojego zamiaru, i tym sposobem między bojaźnią a nadzieją, upłynęło lat trzy.

Przeciwnie Eliza z zaufaniem niewinnéj dziéwczyny, oddała się tkliwym uczuciom piérwszéj miłości. Jeżeli czasem błysnęło w jéj duszy podejrzenie lub wątpliwość, jedno słowo młodzieńca zdołało ją uspokoić. Niewiadomym jéj było jego stanowisko w świecie, nie znała ani zatrudnienia jego

ani nawet przezwiska, i nigdy nie starała się o to, nie chcąc zgłębiać tajemnicy, którą się obsłonił jéj kochanek. I na cóżby jéj się to było przydało, kochał ją—i dosyć! Wszak kiedykolwiek, gdy zostanie jego żoną, dowie się o wszystkiém.

Tym sposobem i teraz pożegnali się: Eliza była wesoła i swawolna, a Piotr powrócił się do swoich zatrudnień.—Zamyślony, ponury, sam sobą nie zadowolniony, przybył do spaniałego domu, a skoro tylko zapukał, dwóch paziów spiesznie otworzyli drzwi i zdjęli płaszcz z niego. Potém zbliżył się rządca jego domu i z uszanowaniem doniósł, że już dwie godziny czeka na niego pewny jegomość z Madrytu z listem od książęcia Braganzy i prosi o posłuchanie u Meccir Rubensa.

Posłaniec ukłoniwszy się z uszanowaniem znamienitemu artyście, wręczył mu list i kiesę złota, którą Rubens odebrawszy z uśmiechem pełnym pogardy, rzucił ją swoim paziom.

»*Sinior*, oświadcz książęciu, że wyjeżdżam dla rozrywki na ośm lub dziesięć dni do Wilanowa. Przeznaczyłem na tę rozrywkę trzy tysiące pistolów.«

Potém obróciwszy się do swoich paziów:

»Podziękujcież temu panu, który wam przywiózł pięćdziesiąt pistolów od książęcia Braganzy!«

Wszedł potém Rubens do pyszno ubranego sypialnego pokoju, słudzy zdéjmowali z niego suknie, a sekretarz tymczasem czytał mu kilka listów. Jeden był od wielkiego książęcia Alberta, który żalił się na nieobecność jego u dworu, którego jak i całéj ziemi Flandryjskiéj był najpiérwszą ozdobą. Drugi, od książęcia Bukingema, który w najpochlébniejszych wyrazach i zapewnieniach w przyjaźń, uprasza Rubensa, ażeby mu odstąpił swą galeryją obrazów i gabinet szczególności, ofiarując za nie znakomitą sumę.

Rubens słuchał z roztargnieniem: nie o tém on myślił. Rozważał on, że sława i bogactwa nie stanowią jeszcze zupełnego szczęścia. Odpuściwszy potém sekretarza i służących, zaczął wpatrywać się w portret matki, jak gdyby błagając ją o radę. Spędził noc niespokojną i bezsenną, gdy tymczasem Elizie snuły się jak tęcza najrozkoszniejsze mary. Jeszcze spała, gdy Marta wyskoczyła z posłania. Drewniany, ścienny zegar uderzył siódmą godzinę.

»Ach Boże mój!« zawołała staruszka: »siódma godzina! Co powie *mefrou* Dennesens? Siódma godzina! Jakże mogłam spać tak długo?... Potrzeba bieżéć jak najśpieszniéj... Pomyśli sobie, że Marta zleniwiała!...«

Śpiesznie ubrała się, pocałowała śpiącą jeszcze Elizę w czoło, i udała się do *mefrou* Dennesens.—Na twarzy wysoko szanownéj małżonki notaryjusza Dennesens, do któréj Marta codzieńnie chodziła naprawiać bieliznę i cérować pończochy, rysowało się nieukontentowanie, co chwila gotowe wybuchnąć surową naganą za opuszczoną umówioną chwilę.

»A co Marto, widać, że nogi nie szesnasto-letnie?« rzekła z ironiją, nielitościwie akuratna pani, wiedząc, że kobietę w latach, niczém tak drażliwie ni dotknie, jak spominając jéj wiek podeszły.

»Spóźniłam się o kwadrans«, odpowiedziała Marta, do żywego dotknięta: »ale....«

»Kwadrans! Chciałaś zapewne powiedzieć pół godziny.«

»Niech i tak będzie *mefrou* Dennesens, proszę sobie odtrącić za ćwierć dnia, i, koniec.« —

»Nie ze wszystkiém i koniec: robota leży.«

»To ja w wieczór pół godziny dłużéj posiedzę.«

»Tak! żeby świécę palić?«

»I czegoż chcecie *mefrou* Denesens? Czy mam się do domu wrócić?« zapytała urażona Marta z powagą.

W mgnieniu oka przedstawiło się sekutnicy mnóstwo podartych rękawów, pończoch bez palców i pięt, i oraz wątpliwość, czy znajdzie tak pracowitą robotnicę, jaką była Marta — i dla tego zmiéniwszy głos surowy rzekła:

»Dosyć już tego dosyć; co się mamy o fraszki kłócić.... a co, jaka była kureczka Marto!?«

»Wyśmienita! bardzo dobra«, odpowiedziała Marta zapyrzywszy się i siadając na zwyczajne sobie miejsce.

W tę chwilę wpakował się opasły, rumiany *minher* notaryjusz Dennesens do izby,

i odsapując, usiadł obok Marty, która nadzwyczajnie tém zaszczytem zdziwioną została. Niemniéj i tłusta połowica notaryjusza. On skinął na nią, ażeby się oddaliła.

»A co?.... Jak sądzisz *mefrou* Marta? Cóżbyś ty dała, gdybym ci powiedział pomyślną wiadomość? A co?«

»Jaką wiadomość *minher* Denneseus?«

»Nową.«

»Cóż ja mam dać, sama nie wiém«, rzekła Marta, uśmiéchając się nad tym żartem sławnego z swych figlów notaryjusza.

»A co, jak sądzisz, jeżeli ja ci powiém.... że spadła na ciebie sukcesyja pięćdziesiąt tysięcy złotych? A co?«

»Ja sądzę, że wy sobie żartujecie *minker* Denesens?«

»Ja nie żartuję? Pięćdziesiąt tysięcy jak jeden grosz!«

»Pięćdziesiąt tysięcy! Boże mój! czyż to być może? Pięćdziesiąt tysięcy! Nie żartujcie *minher* Dennesens: to jest nieludzko.«

»Posłuchajcie tylko miła Marto; macie wy przyrodnego brata w Leodyjum, który się nazywa Jost Hoffein?«

»Mam; ale on daleko młodszy odemnie i ma dwoje dzieci.«

»Nic nie znaczy, że młodszy: on umarł, dzieci także, a wy jesteście jedyną sukcesorką.«

Notaryjusz zaczął jéj objaśniać szczegóły, jak i co robić należy, do kogo się udać, i u kogo pieniądze odebrać, a Marta złożywszy ręce w gwałtownêm poruszeniu oparła się o krzesło, pot strumieniem toczył się po licu, a usta cicho szeptały:

»Eliza! Eliza!...«

W godzinę późniéj jak Marta wyszła z domu, obudziła się Eliza, i z podziwieniem postrzegła, że słońce już wysoko. Czuła się być wszelakoż bardzo spokojną i wesołą; jéj sny bowiem były tak przyjemne, że bynajmniéj nie żałowała przespanego czasu, a nawet nie spieszyła się wstawać. Odpoczywała jeszcze i zatapiała się w rozkosznych marzeniach, gdy usłyszała pukanie we drzwi.

»Któż tam?«

»Ja, Piotr.«

»Ach, Boże mój, cóż on sobie pomyśli, gdy zobaczy, żem tak długo spała? Zaraz! zaraz!«

Ubrała się spiesznie, zaciągnęła firankę od alkowy, i nareszcie otworzyła drzwi Piotrowi, który uśmiéchał się, widząc zaspane oczy pięknéj dziéwczyny.

»Tak rano!...« rzekła Eliza zarumieniwszy się.

»Przykro mi było, tęskność ściskała mi serce, przyszedłem popatrzyć się na ciebie, ażeby sobie wytchnął. Nie spodziéwałem się, żebyś o dziewiątéj godzinie spała«, dodał uśmiéchając i przypatrując się, że izdebka jeszcze w nieporządku.

»Za to możesz mi pomódz zrobić porządek i poprzątać. Oto weźmy ten stolik i przestawmy go w to miejsce... dobrze! — Posuń tam cokolwiek tę ławeczkę...«

»Patrzajno patrzaj! oni już oboje przątają, jak na własném gospodarstwie!« odezwał się ktoś wesołym głosem, jakiego ani Piotr ani Eliza nigdy jeszcze nie słyszeli.

Byłato Marta, rumiana, żywa, lekka, kubek w kubek, jak piętnasto-letnia dziéwocha.

»Bardzo dobrze, bardzo dobrze Piotrze! uczcie się pomagać żonie: za dwie niedzieli pobierzecie się!«

»Za dwie niedzieli?« zapytał Piotr z zadziwieniem.

»A cóż, nie powtarzaliście tysiąc razy, że tylko ubóstwo wam żenić się przeszkadza.«

»I cóż tedy?« zapytał Piotr pobladłszy.

»Wy teraz bogatémi jesteście!«

»Ona wié moję tajemnicę!« pomyślił sobie młodzieniec. »Ona mnie wypatrzyła wywiedziała się o mnie! Może być, ona już dawno wié! może być.... Toby okropną było rzeczą!..., Może być ony przyjmują tu i kochają tylko bogaczów!«

»Wyście teraz bogaci!« powtórzyła Marta.

»Bogaty?... Ja?...«

»Nie wy, nie, tylko Eliza... na nią spadła sukcesyja... pięćdziesiąt tysięcy...«

»Na mnie Marto?«

»Na ciebie duszko! na ciebie! koniec kłopotu! koniec łzom! dosyć już zmartwienia, będziemy się cieszyć...«

I staruszka puściła się tańczyć, skakać, bić w dłonie.

Potém rozpowiedziała kochankom, że niby to jakaś daleka krewna Elizy, o któréj ta nigdy nie słyszała, umiérając zapisała jéj cały majątek. Tego tylko nie powiedziała, że tą, niby daleką zmarłą krewną, ona sama była, uprosiła także notaryjusza, żeby zachował tajemnicę, i przeniósł ten kapitał na imię Elżbiéty Brant.

»Wszystko to twoje Piotrze!« rzekła Eliza, wziąwszy go za rękę. Wszystko twoje. Rób z témi pieniądzmi co ci się podoba. Ja tylko pragnę, byś mię nie opuszczał, żebyś mię kochał.«

»Nie, nie opuszczę cię Elizo! za dwa tygodnie będziesz moją małżonką... nie za twe bogactwo, lecz za twe dobre serce i miłość ku mnie. Ja mam także swą tajemnicę, lecz nie dowiesz się o niéj wcześniéj, aż w dzień ślubu. Tymczasem pozwólcie, ażebym zrobił wszelkie przygotowania do wesela. Mam ja przyjaciół, którzy mię

wesprą, jeżeli tego będzie potrzeba. Wy obie nie wychodźcie nigdzie z domu, i nie przjmujcie nikogo u siebie. Przyrzeknijcie, przysięgnijcie mi to.«

»Przysięgam ci Piotrze.«

»Żegnam cię droga Elizo.«

Pocałował z czułością rękę dziewczyny, a tymczasem Marta podskakując, wołała:

»Za dwie niedziele! za dwie niedziele!«

Dwa tygodnie upłynęły przygotowaniem do ślubu. Igiełka Marty w tych przygotowaniach grała ważną rolę. Można sobie wystawić z jaką gorliwością pracowała nad wyprawą swéj kochanéj Elizy. Piotr prawie nie odstępował dwóch szczęśliwych niewiast. Starał się tylko przeszkadzać, ażeby z domu nie wychodziły, i nie miały obcowania z nikiém; lecz na cztéry dni przed ślubem przestał odwidzać swą narzeczonę. Można sobie wyobrazić niespokojność i obawę dziéwicy i trwogę Marty. Siedząc przy oknie, bezustannie poglądała Eliza w koniec ulicy, ażali Piotr nie idzie. Skoro się pokazał jakiś mężczyzna... »To nie on! — nie, to nie on«, zawołała i łzy wytrysły z prześlicznych jéj oczu.

»On chory«, mówiła Eliza ciężko wzdychając, a ja nie jestem przy nim, nie mogę mu pomódz, a nawet nie wiém gdzie mieszka!«

Drugim razem jeszcze okropniejsza myśl przychodziła jéj do głowy:

»On już nie przyjdzie, on mię już nie kocha!« Marta starała się pocieszać biédną dziéwczynę, a i sama ledwie nie płakała, nie będąc w stanie pojąć, co to znaczy jego niebytność.

Nareszcie przyszedł dzień ślubu.

O ósméj zrana, Marta ubrana już w nowe suknie, ubiérała Elizę pod wieniec. Dziéwica blada, drząca, oczu nie spuszczała z okna. Ręce Marty tak drżały z niespokojności, iż z trudnością mogła zapiąć śpilkę lub zawiązać wstążeczkę u sukni swéj pani.

Tak zeszło aż do dziesiątéj godziny.

O dziesiątéj dała się słyszeć muzyka na ulicy. Marta wyszła na ganek patrzyć, co to znaczy. Jakież było jéj zadziwienie! Muzykanci zbliżali się do ich domu; za muzykantami postępował oddział żołniérzy z rozwiniętym sztandarem, daléj, wyborowi cechów rzemieślniczych z chorągwiami; potém artyści; potém mnóstwo panów i szlachty, a między niémi sam burmistrz i *mesir* Hawert, sekretarz miasta. Wszyscy zatrzymali się przed maleńkim domkiem, przy największém zadumieniu Elizy i Marty. Nareszcie zjawił się Piotr w kosztownym ubiorze.

»Niech żyje Rubens! Niech żyje!« głośno wołał zgromadzony naród.

»Rubens!« szeptała Eliza w pomieszaniu. »Rubens, sławny malarz, którego nazwisko każdy z takiém uszanowaniem spominał? Czyś ty Piotrze Rubens?«

»Tak jest moja droga Elizo. Moje imię, moje bogactwa, moja sława, wszystko tobie należy.«

»Cóż mię do tego! bylebyś ty mię kochał....«

»Gdzież jest Marta?«

»Tu, tu jestem«, odpowiedziała z-cicha staruszka pomieszana, zobaczywszy, że majster Piotr — jest tak znakomitą osobą.

»A ha! znam ja twoje figle Marto! Notaryjusz Dennesens wszystko mi rozpowiedział.«

»Milczcie, milczcie!... Co za potrzeba mówić o tém przy wszystkich?«

»Nie powiém, nie powiém, bo już wszyscy o tém wiedzą. Przyjaciele«, dodał, wziąwszy staruszkę za rękę: »przyjaciele moi, oto Marta!«

Wszyscy z uszanowaniem zdjęli kapelusze.

»Teraz«, mówił on daléj, wziąwszy pod rękę Elizę i Martę: »teraz idźmy do kościoła, gdzie nas biskup oczekuje.«

»Niech żyje Rubens! Niech żyje Elżbiéta Brant! Niech żyją!« zagrzmiały tłumy ludu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 38. i obejmuje: 1) Moje postrzeżenia nad uprawą buraków. 2) O nawozie: Jak można zapobiedz brakowi nawozu, wynikłemu z niedostatku paszy? podług Wiliama Löbe. (Ciąg dalszy). 3) Objaśnienie względem rachunku decymalnego i innych technicznych wyrażeń do artykułu: »O rolnictwie i jego kombinacyjach, na rachubie otych«, przez Kazimierza hr. Krasickiego.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 20. i zawiéra prócz mod, następujące artykuły: 1) Przez ulicę, obraz fantastyczny, przez Józefa Dzierzkowskiego. 2) Zamek w Normandyi, zdarzenie prawdziwe. (Dokończenie).

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* zawiéra na miesiąc wrzesień następujące artykuły: 1) O przysiędze, napisał Dr. Karol Bachman. 2) Szkice podróżnego w przelocie przez Europę w r. 1842 (część 7ma), przez S. O. 3) Historyczny przegląd mniemań o płciowości i sposobie zapładniania się roślin, przez Tytusa Chałubińskiego. 4) Stół cudowny, przez W. P. 5) Ułamek, przez W. P. 6) Złota kaczka, przez T. L. 7) Strzelec, przez T. L. 8) Siła woli, urywek z pamiętników nieznajomego, przez J. B. Dziekońskiego. 9) W kronice: Mindows J. I. Kraszewskiego, przez A. T. 10) Biblijoteka Starożytna tom I. i II., przez A. T. 11) Doniesienia naukowe. 12) Przegląd dzienników zagranicznych, przez F. Jezierskiego. 13) Kronika biblijograficzna, przez Fr. St. G. 14) W Rozmaitościach: *a*) List z Krakowa z dnia 16. Lipca r. b. *b*) List hr. Eust. Tyszkiewicza z Kopenhagi z dnia 5go sierpnia r. b. *c*) Dostrzeżenia meteorologiczne za lipiec 1843. —— Tamże wyszło dzieło, pod tytułem: *Pomniki do historyi w Polszcze z XVI. i XVII. wieku*, wydane z rzadkich druków przez J. I. Kraszewskiego.

Do najbogatszych monstrancyi w świecie, należy bezwątpienia monstrancyja w Pradze, ozdobiona 6,665 drogiemi kamieniami, (ta, którą niedawno świętokradzkie ręce skraść chciały). Bogatszą jednak od téj jest monstrancyja zachowywana dotychczas w katedrze miasta Mexyku, w Ameryce; waży przeszło 90 funt. złota, ozdobioną jest 5,872 dyjamentami, 2,655 smaragdami 644 rubinami, 106 ametystami i 8mią szafirami. W tejże katedrze znajdują się statuy świętych, całe ze szczérego złota i srébra albo drogiego tombaku, którego wartość niemało mniejsza od srébra. Puszka do świętych hostyj, waży 14cie funtów złota, ozdobioną jest 1,676 dyjamentami. Kielich do Ofiary mszy świętéj używany w wielkich uroczystościach, waży 17 funtów złota i także parę tysiącami drogiémi kamieniami jest ozdobiony. Budowa saméj katedry mexykańskiéj, na którą kilku królów hiszpańskich składało się, kosztowała kilkanaście milijonów. *(K. W.)*

Wychowanie młodzieży w Chinach. Urodzenie syna obchodzi każda chińska familija uroczystością, połączoną z różnémi zabawami. Nadają dziecięciu najprzód imię rodowe lub przezwisko, potém zaś imię dziecięce, które właściwie jest tylko pieszczotliwem skróceniem familijnego nazwiska. W miesiąc późniéj znajomi i przyjaciele rodziców przysyłają w darze srebrną misę z wyrytémi nań słowami: »Długiego życia, sławy i szczęścia!« — Zaraz w pierwszéj młodości obznajamiają dziecię z wykonywaniem obrzędów religijnych, w czwartym zaś lub piątym roku uczą go czytania. Już w najdawniejszych czasach zwracali Chińczykowie zawsze swą uwagę na wychowanie młodzieży; w jednem ich dziele, pisaném jeszcze przed erą chrześcijańską, znajduje się: »Wiadomość o starym systemacie wychowania młodzieży«, według którego każde miasto i każda wieś powinna mieć szkółkę narodową. Bogatsi Chińczykowie trzymają osobnych nauczycieli, biedniejsi zaś posyłają swe syny do szkół dziennych, tak licznie uczęszczanych, iż zbyt mała opłata za naukę każdego dziecięcia wypada. Po większych miastach są także szkoły nocne, uczęszczane przez tych, którzy we dnie pracować muszą.

Nagrobek Napoleona. Na piedestalu pomnika który cesarzowi Napoleonowi w kościele Inwalidów stawiają, umieszczony będzie następujący spis zasług tego Cesarza: »Urodzony dnia 15go sierpnia 1769; szef oddziału artyleryi przy oblężeniu Tulonu 1793 w 24 roku; komendant artyleryi we Włoszech 1794 w 25 r.; jenerał szef armii we Włoszech 1798 r.; główny dowódzca wyprawy wojennéj do Egiptu 1798 w 29 r.; pierwszy konzul 1799 w 30 r.; dożywotni konzul po bitwie pod Marengo 1800 w 31 roku; Cesarz Francuzów 1804 w 35 r.; złożył koronę po bitwie pod Waterloo dnia 18go czerwca 1815 w 46 r.; umarł na wygnaniu na wyspie świętéj Heleny dnia 5go maja w 52 roku.«

Prawdziwy dyplomatyk. Pewien francuzki autor mówi o dyplomatyku: »Prawdziwy dyplomatyk powinien być zimny jak lód, twardy jak kamień, ślizki jak węgorz, ciekawy jak gazeciarz, niemy jak ryba, niedowierzający jak skąpiec, roztropny jak wąż, obrotny jak chorągiewka na dachu, chytry jak lis a uparty jak stary dozorca więźniów.«

Teatromanija Francuzów. Teatr francuzki odbywa niezaprzecznie największą podróż po świecie. Dramata panów Pixerécourt i Scribe przedstawiano w oryginale już poczęści w Kiachcie i Tobolsku, u stóp wielkiéj piramidy w Gizeh, pomiędzy ambasadą francuzką w Ispahanie, na pokładzie korwety *Zélée* śród pływających lodowców bieguna południowego i niedawno dopiéro od załogi francuzkiéj fregaty *Magicienne* przed Hong-Kong w Chinach. Teraz przychodzi kolej na wyspy Australii. Dziennik wychodzące w południowéj Francyi, donoszą właśnie, iż towarzystwo aktorów dających opery, zebranych w Breście w celu udania się na okręcie do wysp Marquesas, aby tamże pomiędzy ludożércami odśpiewywać dramata w francuzkim języku, od ministeryjum marynarki jak największych względów doznaje. Teatr zupełny z wszystkiemi potrzebnemi urządzeniami władowano już na królewski statek *Zampa*. Aby zaś tychto dramatycznych misyjonarzy za przybyciem na wyspę Nukahiva uwolnić od wszelkich przygotowań czas zabierających, ruchomy teatr tak urządzono, iż w kilku godzinach na każdem miejscu według upodobania może być wystawionym.

Mamut odkryty w Syberyi. Rossyjskie pisma umieszczają list W. Moczulskiego następującéj treści: »Już w 1772 roku Pallas, w północnéj Syberyi znajdował szczątki doskonale zachowane nosorożca; w 1806 podróżnik Adams, przy ujściu Leny, znalazł prawie zupełny szkielet mamuta, który teraz jest w muzeum ces. Akademii Nauk. Ten szkielet był już od 1799 roku znany Tungusom, i miał wtedy na sobie mięso, skórę i szerść, lecz nim go zobaczył Adams, w ciągu siedmiu lat, w miarę topnienia lodu, który go pokrywał, był odarty przez niedźwiedzi.— W czasie pobytu mojego w Syberyi, doszła mię w lutym 1841 wiadomość, o znajdowaniu się na brzegach rzéki Taz, wpadającéj o 300 wiorst od morza lodowatego do rzéki Jenisej, zupełnego egzemplarza mamuta z mięsem, skórą i szerścią, który przez podmycie wodą, wyszedł na powierzchnię ze zmarzłéj ziemi.—Doniosłszy o tém odkryciu ces. Towarzystwu Badaczów Przyrody w Moskwie i przedsięwziąwszy potrzebne środki ku zachowaniu tego szczętu, byłem zmuszony odjechać do Petersburga.—Teraz, za szczególném staraniem niektórych osób, te ostatki przedpotopowego świata, po pokonaniu wszystkich przeszkód na drodze od 2,000 wiorst, przez miejsca niezaludnione, przewiezione zostały do Tobolska. Wkrótce zapewne ujrzémy w Moskwie wypchane zwierzę, które żyło przed kilku lat tysiącami. Najciekawszą jest rzeczą w tém odkryciu, że z pokarmów, które się znajdą w żołądku mamuta, można będzie wnieść, azali Syberyja i w przedpotopowych czasach była tak zimna jak teraz. *(Tyg. Pet.)*

Małe rodzénki. Rodzénki znane w handlu pod imieniem małych czyli koryntckich, rosną na jednym gatunku winnej macicy *Vitis corinthiaca minuta* zwanéj. Za panowania Wenecyjan w Grecyi albowiem rosły w okolicach miasta Koryntu przez długi czas spustoszałego i opuszczonego, winne macice, które tak zdziczały, iż tylko malutkie słodkie jagody wydawały. Zbiérane takowe i suszone pod nazwą Koryntów sprzedawano. W czasach niniejszych, gatunek ten zdziczały, nie rośnie już więcej koło Koryntu, lecz koło Patras, mianowicie zaś na jońskich wyspach Zante i Kefalonia. Małe rodzénki stanowią główny produkt handlowy wyspy Zante; zbierają ich tam corocznie do 6 milijonów funtów, w Kefalonij zaś 3 1/2, a w Ithace pół milijona. Z całéj Grecyi wywożono dawniéj 6 milijonów funtów małych rodzénków, wszelakoż teraz więcéj niż dwa razy ich tyle z tamtąd wyprowadzają. Za jednę chilijadę to jest za 1000 funtów, płacą po 85 do 90 talarów hiszpańskich.

Katalończykowie. Znakomity autor »Urywkowych spostrzeżeń w podróży przez Hiszpaniję« w pewném piśmie niedawno umieszczonych, skreśla pomiędzy innemi także charakterystykę Katalończyków, która

zwłaszcza w czasach niniejszych, czytelników niemało zająć może, Przedstawia on ich jako jedno z najpracowitszych plemion europejskich, nazywa wytrwałémi i niezmordowanémi w dopięciu swych zamiarów, zachowującémi uporczywie starożytne swe zwyczaje i szydzącémi z wszelkich modnych nowości swych sąsiadów. Dotąd jeszcze łączą Katalończykowie w swém życiu nieugiętą dumę z dawnémi niepodległémi republikańskiémi obyczajami, których podstawą są u nich: oszczędność i pilność w zarobkowaniu. — Katalończyk nie nawidzi mocno próżniaków z nizin hiszpańskich; podobnie jak Tyrolczyk chodzi on za zarobkiem, zostawiwszy w domu żonę i dzieci, które się trudnią rolnictwem i różnémi kobiecemi robotami na sprzedaż. Katalończykowie mają w swych szorstkich obyczajach i zwyczajach oraz w całém swém zachowaniu i giestach pewną właściwość, ktora innym Hiszpanom służy za przedmiot do rozrywek, zabawnych żartów i dowcipnych ucinków. Narzecze ich mowy nadzwyczaj jest grube, a proste ich zachowanie się w towarzystwie, i opryskliwość ich, nieznośne są dla ukształconego Kastylijczyka. Przytém nader są wstrzemięźliwi, oszczędni w użyciu swych słów i pieniędzy, które to ostatnie chętnie składają, aby po powrocie do domu żyć sobie nieco wygodniéj. Trzymają się razem, podobnie jak Szkoci, Szwajcary i Tyrolczyki, z którémi wiele w zachowaniu się mają podobieństwa. W wszelkich rozprawach, gdzie chodzi o wywarcie jakowegoś wpływu z ich strony na rząd, łączą się spólnie, w celu powzięcia środków zaradczych dla ogółu; i w rzeczy saméj reprezentują oni niejako przemysłowych i handlujących Szkotów w Anglii, a mieszkańców Lombardyi we Włoszech. Z powodu tychto dziwacznych szczegółów, przywiązują drudzy do ich imienia niejakowąś wzgardę, a wyrazem: *Catalon cerrado* (zabity Katalończyk), mianują zazwyczaj takowych, którzy się powyższémi narodowémi odznaczają obyczajami. — Doskonała ta szkica, rzuca niemałe światło na niejedno w oczy wpadające zdarzenie w czasie ostatnich rozruchów w Hiszpanii.

Co też porabiają w Paryżu? Z wykazów statystycznych okazuje się: iż w przecięciu w Paryżu dziennie bywają 2 bankructwa, 315 zastawów w lombardach, 50 licytacyj, 3 przypadków śmierci nadzwyczajnéj, 470 chorych udających się do szpitalów, 91 przypadków śmierci, 3,000 sądowych zapozwów, aresztowań i t. d. przez 242 woźnych; 78 występków i przestępstw, 3 osoby rozjechane na ulicy; prócz tego Paryż dziennie wydaje 4 milijony franków na stół, mieszkanie, odzież i podatki.

Francuzki par i lichwiarz. Pewien francuzki par z znakomitego rodu, zmuszony był jednego razu w pieniężnéj potrzebie uciec się do lichwiarza. Podpisał on w tem celu weksel na 12,000 franków i zlecił pośrednikowi załatwienie całéj sprawy. Zgodzono się co do procentów, a pośrednik udał się z wekslem po ową sumę do lichwiarza. Gdy ten ostatni otwiérał już kasę dla wyliczenia gotówki, rzekł do niego pośrednik żartobliwie: »Spodziewam się, że waćpan będziesz ze mnie zadowolonym; przynajmniéj mi waćpan nie zrobisz wyrzutu, iż mu złych kredytorów stręczę; nie co dzień się to albowiem zdarza, mieć do czynienia z parem, który 75 procentu płaci.« — »Więc to z parem mam do czynienia?« zawołał zdziwiony lichwiarz, zamykając nazad swą skrzynię z pieniędzmi »Bardzo mi to zaiste nieprzyjemnie; z parami żadnych nie chcę miéć interesow — bo par jest osobą nienaruszoną. W razie gdyby mi nie chciał wypłacić długu mógłbym go tylko w czasie, gdy nie ma posiedzeń wsadzić do więzienia; co dla mnie nie jest dostateczne. Szanowny Vicomte musi wprzódy zrzéc się swej godności parowskiéj, jeżeli chce otrzymać sumę, któréj odemnie żąda.«

Obraza nosa. Niedawno temu siedział przy śniadaniu w kawiarni angielskiéj w Paryżu pewien ulubiony dramatyczny autor, będący oraz oficerem kawaleryi. Tuż koło niego zajęło miejsce grono młodzików, którzy sobie z rzeczonego pisarza wodewilów drwinki stroili; ten ostatni miał z urodzenia nos niepospolity i dużą bliznę na twarzy. Młodziki obrali sobie ów nos i ową bliznę za przedmiot swych dowcipów, nie wiedząc, że rotmistrz N. w czasach, gdy jeszcze ustaw przeciw pojedynkom tak mocno nie przestrzegano, nie tylko z powodu swéj szczególnéj zręczności w szermierstwie, jak raczéj dla swéj nadzwyczaj zimnéj odwagi był jednym z najstraszniejszych przeciwników. Przymiot ten i w tym razie dokładnie się objawił: pożywał on spokojnie śniadanie, nie zważając bynajmniéj na dowcipne szyderstwa swych sąsiadów. Skończywszy zawołał na posługacza i zażądał od niego rachunku. Skoro tenże się zbliżył, przejrzał rotmistrz rachunek i rzekł donośnym głosem: »Zapomniałeś jeszcze jednę rzecz dodać: zapisz także wszystkie szyby tego okna na mój rachunek.« — Gdy posługacz wpatrzył się weń zdziwionym wzrokiem, powtórzył oficer: »Zapisz, mówię tobie, cenę szyb tego okna na mój rachunek. Prędzej! Rób co ci każę!« — »Jakto? Czy pan chcesz nasze szyby z sobą zabrać?« zapytał posługacz. — »Bynajmniéj, ja myślę tylko wyprosić przez okno tego pana«, odrzekł rotmistrz, wskazując na swego sąsiada, który największy talent dowcipkowania okazał. Słowa te głośno i dobitnie wyrzeczone, sprawiły wielkie wrażenie w sali, a niezmierny popłoch między przedrwiwaczami, jak to zwykle bywa u wszystkich bezwstydnych z razu wiele mówiących a potém tchórzliwych; szczególniéj zaś ów dowcipniś, który miał wylecieć z kawiarni niezwyczajną drogą, zupełnie stracił ducha. Chcąc jednakże pokazać niejakieś męztwo, zaczął się mimowolnie stawiać i żądał bliższego objaśnienia owéj groźby. »Mój panie!« odpowiedział rotmistrz spokojnie: »wpan pozwoliłeś sobie z mego nosa żarty stroić; ta najważniejsza część méj fizyognomii nie ma szczęścia wpanu się podobać; mnie zaś nos mój bardzo się podoba i przetoż nie ścierpię, aby ktoś źle o nim mówił.« Młodzik zaczął się uniewinniać, zapewniając, iż obrazić go wcale nie miał zamiaru. — »Wpanoś mnie bynajmniéj nie obraził«, odrzekł rotmistrz jednakim głosem, dla tego też nie przedemną, lecz jedynie przed moim nosem masz się uniewinnić. Albo wpan w obec wszystkich głośno oświadczysz: że mój od wpana wyszydzony nos, jest arcydziełem stworzenia, godnem Apollina belwederskiego, albo w przeciwnym razie, wyproszę wpana przez okno.« Spokojna i odważna mowa rotmistrza tak mocno szyderczego młodzika nastraszyła, iż tenże po kilku wymówkach i niejakiém ociąganiu się, żądane oświadczenie z kwaśną miną głośno uczynił. — »Chłopcze!« zawołał rotmistrz na posługującego z tąż samą powolnością: »wymaż teraz szyby z rachunku, ten pan tą razą drzwiami wyjdzie.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.